

Karol Zbyszewski

Wielki Piątek Stanisława Augusta

w 1792 r.

na podstawie materiałów historycznych

Król obudził się o 8-ej rano, ziewnął parę razy i sporządził na ogromny portret Katarzyny, wiszący na wprost łóżka.

— Jak też Najjaśniejsza Imperatorowa spędziła noc dzisiejszą, — rozmyślał, — i z kim? Mówią, że Zubow jest leniwy i źle wywiązuje się ze swej służby...

Przeszedł w szlafroku do garderoby natłoczonej już ludźmi. Kamerdynery oblewali go perfumami, pudrowali perukę i twarz, smarowali czoło maścią (by zmarszczek nie było). Ponieważ wodę uważano za zgubną i niesłychanie dla zdrowia szkodliwą — mycie wcale nie było stosowane.

Sekretarze składali raporty:
— Konwent uchwalił...
— Uaaa, — ziewnął Stanisław.
— Fryderyk Wilhelm i Herberg...

— Uaaa...
— W Konstantynopolu wezry...
— Uaaa...
— Wczoraj wieczorem widziałem Julię Potocką w towarzystwie ks. Sanguszków...

— Oooo, a gdzie?
— Przechadzali się po ogrodzie Saskim, potem weszli do jego karety i pojechali do pałacu na Senatorskiej, książę wyszedł stamtąd dopiero o 3-ej rano.

— Ach, ta młodzież dzisiejsza! Już o 3-ej wyszedł? I co? Czy wyglądał zmęczony?

Ubrawszy się, król podążył na drugi koniec zamku, do pokojów markizy Lulli — 18-letniej smarkatej, która uciekała z ciotką z rewolucyjnego Paryża. Lulli siedziała przed lustrem w cieniu, przez czyste koszuły, z obnażonymi do pośwoy (poziomo — nie pionowo) piersiami. Palce bosych nóg lśniły od pierścionków, trzy służebne czesały jej długie złote włosy, murzyn i piesek kotłowały się na dywanie.

Stanisław August kląpnął na fotelu, służące, murzyn i stara ciotka zniknęły za drzwiami.

— Nie pocałujesz mnie Lulu na dzień dobry?

— Non Stanislas, jesteś okropny.

— Czemuż to kochanie?

— Już od tygodnia obiecujesz mi nowy sznur pereł i wciąż go nie widzisz.

— Sejm wszystkie pieniądze pakuje w wojsko, nic mi nie daje...

Bilety

wizytowe

- wykończone
- drukuje, litografuje
- najlepiej

„PIONIER”
Marszałkowska 111

— To byle żołdak ma wszystko, co mu potrzebne, a ja gniję w nędzy. Brudny chłop droższy ci, niż ja.

— Ależ, skądże, Lulu!

Zbliżył się do niej, poglaskał odsonięte ramiona, odepchnęła go: Nie można, rozpustniku! Gdybyś choć miał perły...

Klnąc niepokorny militarny sejm, zeszedł Stanisław na dziedziniec. Była już 11-ta, zamiast do swej łóż masonskiej. Pod Trzema Hełmami, postanowił jechać do kościoła. Zazwyczaj słuchał Mszy św. w katedrze, do której przechodził zamkowym korytarzem. Ale że dzisiaj miał odbyć spowiedź, chciał, by jak najwięcej ludzi mogło go obserwować. Wolno ruszył do kościoła św. Krzyża.

Przez kryształowe szyby swej karety, soliterki patrzył z pobłażliwym uśmiechem na zamieszanie uliczne. Odwiecznym zwyczajem, na pamiątkę Męki Pańskiej, żacy warszawscy tłukli w Wielki Piątek żydów. Straż marszałkowska nie przeciwstawiała się tradycji, żydzi wznieśli srogi wrzask, ale ani im do głowy nie przychodziło siedzieć w domu. Pobożni mieszczanie nie handlowali w Wielki Piątek — dzień więc był ich benefisem. Dla podwójnego zarobku można było znieść parę kuksańców.

Św. Krzyż był pełen wiernych. Patrzyli z zainteresowaniem na biczowników, ludzi o głowach całkowicie osłoniętych kapturami z małymi tylko otworami na oczy. Każdy miał batóg w rękę i smagał innych co sił w ramieniu. Krew aż tryskała na siedzące w ławkach kumoszy.

— Masz za grzechy swoje! Masz, masz! — wołali biczownicy i ogarnięci wzrastającą skrucho prali się do utraty tchu.

Wejście króla położyło kres tym pobożnym ćwiczeniom. Ociekający krwią kapłany poszli do żydów cyrulików po plastry, a Stanisław zasiadł przed głównym ołtarzem na wspaniałym krześle.

Obok, na taburecie, książd kapelan Woronicz. Krzesło było wysokie, taburet niskutki, by należycie przysunąć ucho do ust króla, książd musiał przykłęknąć. W ten sposób wysłuchał spowiedzi.

Nie trwała długo. Rzędem na bocznej ławie zasiadło 12 starców żebraków z obnażoną jedną nogą. Byli już starannie umyte, teraz dla pozorów zakrystianie zanurzali je w srebrne miski, po czym król zarzucał na każdą serwetę. Nazywało się to, że myje nogi biedakom. Jeden piękny starzec, o długiej po pas białej brodzie, zwrócił jego uwagę.

— Wiele masz lat? — spytał.

— Na św. Michała będzie 106.

— Jakżeś robisz, żeś tak krzepki i zdrowy?

— Nigdy wina i kobiet nie używałem, Miłościwy Panie.

— Toś kiej! Po co żyć w takim razie.

Lakomy Stanisław poganiał stangreta. Truchtem pobiegł do sali jadalnej, ciekaw, co też mu dziś genialny kucharz Tremo przyrządził na obiad. Prawda! To Wielki Piątek! Nie było ulubionej baraniny ani odwaru z rosółu. Lękając ostrzygi — ekstra pocztą przywiezione z Hamburga — i popijając burgundem, król słuchał dykteryjek Trembeckiego.

Lubił bardzo tego ogromnego leniwego zawsze, brudnego pochlebę. Mianował go szambelanem, wyznaczył mu 400 dukatów rocznej pensji, a więc prawie tyle, co kucharzowi Tremo. Magnaci dziwili się tej rozrzutności. Po co płacić pocie? Będzie przecie pisał wiersze i za darmo.

Po obiedzie, w gabinecie, król rzekł do marszałka dworu, Kiekiego:

— Dziś, dla godności pokuty, chciałbym zrobić jakiś dobry uczynek. Pieniądzy mamy mało, więc na jałmużnę nie starczy, ale są chyba jacyś zbrodniarze w prochowni, każ waszmość wypuścić dwóch najgorszych.

Szukał jakiegoś papieru na stole i nie mógł znaleźć. Zirytowany dał policzka lokajowi, od razu pomógł — list się odnalazł; król jął go bić coupe-papier, mrużąc: — a macz, niecnoto, za chowanie się!

Korespondencja zajęła mu parę godzin. Żaden ślub nie mógł się przecie odbyć w Polsce bez współudziału Stanisława. Zaw sze obie strony uważały, że popełniają megalizans — dopiero perswazje króla łagodziły zawziętych rodziców. Kojarzanie małżeństw było jego ulubionym zajęciem.

Michał Kondracki

Muzycy w służbie Boga

Życie Chrystusa stanowiło niewyczerpane źródło natchnienia dla twórców muzycznych średnio-wieczna. Głównym i prawie wyłącznym motywem, przebijającym poprzez dzieła mistrzów dawnych epok, było rozpamiętywanie dzieł Męki Pańskiej i usilowanie odtworzenia jej przebiegu za pomocą środków muzycznych. Pisano Msze, Kantaty, Pasje. Obierano najczęściej jako teksty religijne Ewangelię lub Biblię. W ten sposób powstał szereg arcydzieł muzyki religijnej, poczynając od epoki wczesnego średniowiecza — aż do czasów późniejszych. Wielu kompozytorów pozostawiło w tej dziedzinie wartości nieprzemijające. Wystarczy wspomnieć o mistrzach tej miary, co Palestrina, Schütz (twórca słynnego oratorium „Siedem słów Chrystusa na krzyżu”) lub J. S. Bach, autor kilku

genialnych, przepięknych Pasji (słynna Pasja według św. Mateusza), będących muzyczną transpozycją całokształtu tekstu stworzonego przez Ewangelistów. Na tchnienie wielkiego kompozytora dopełniło dzieła Ewangelistów, powołując udźwiękowiony tekst święty do życia artystycznego. J. S. Bach — jeden z bardzo wielu mistrzów — potrafił wzniesić się na wyżyny twórcze, pełne iskrę Boskiego odczucia rzeczy, nie dostępnymi zwykłym śmiertelnikom: stworzył on apogee postaci Chrystusa i apoteozę ostatnich dni Jego życia.

Problemy religijne i zagadnienia treści chrześcijaństwa nie przestawały pasjonować w równej mierze kompozytorów — romantyków. Ryszard Wagner, u schyłku życia tworzy słynnego „Parsifala”, misterium sceniczne, będące apoteozą Eucharystii. Dramatycz

ny geniusz wielkiego romantyka szukał na scenie odpowiednich ram dla wypowiedzenia swych uczuć religijnych. Dał im formę gigantycznej wizji, pełnej mistycyzmu, wstrząsającej do głębi wyrazem pokory chrześcijańskiej i opromienionej aureolą żarliwej wiary.

Nawet „rozpiewany słowik” Rossini zapragnął dać wyraz swoim religijnym uczuciom, pisząc „Stabat Mater”, a beztrudni Mozart ostatnim swym, głęboko tragicznym dziełem „Requiem” żegnał ten świat.

Wielki Beethoven stworzył słynną „Mszę Uroczystą” (którą komponował przez wiele lat), przewyższającą swym poilem i olbrzymimi rozmiarami wszystko, co dotychczas zostało napisane w tej dziedzinie.

Muzycy współcześni w tym samym stopniu, co i klasycy i ro-

mantycy, czerpali swe natchnienie ze słów Pisma Świętego. Igor Strawiński, słynny kompozytor do by dzisiejszej, pisze „Symfonię Psalmów”, dzieło oparte na tekście liturgicznym Kościoła Katolickiego.

Kompozytorzy polscy wszystkich czasów tworzyli dzieła religijne, poczynając od Szarzyńskiego („Jezus, spes mea”), Gomółki (Psalmu) i kończąc na Moniuszce (Msza), Nowowiejskim (Misa pro pace), oraz wielkim naszym kompozytorem współczesnym Karolu Szymanowskim, który napisał przepiękne „Stabat Mater”.

Wspaniałe to dzieło stanowi najtrwalszą pozycję w bogatym dorobku naszego rodzimego mistrza i niewątpliwie dowodzi, że jak i wszyscy naprawdę wielcy twórcy, tak i Karol Szymanowski, wznosił się myślą i sercem ku Bogu.



ZMIĘKCZA ZAROST, ŁAGODZI SKÓRĘ



Slepawy jak kret Piattoli opowiadał królowi treść ostatnio wysłanych książek. Stanisław nigdy nic nie czytał, ale po tych treściwych raportach konferował biele o literaturze.

Spójrz! na wielki portret carowej: — Chwała Katarzynie, jeszcze jeden dzień dobrze uszedł, — wyłamał? i zachrapał niczym żołnierz, stojący na warcie przed zamkiem.

Stanisław Grzelecki

Jutro

— Ma pan rację. Są słowa, które posiadają szczególną właściwość i szczególną rolę odgrywają w naszym życiu. Już sam ich dźwięk wywołuje pewien nastrój, stwarza pewne sugestie, a przeżycie wewnętrzne ich treści daje nam często więcej wartości niż to, co w rzeczywistości tymi słowami nazywamy. Tych słów nie jest wiele, ale one wystarczają do komunikowania innym o wszelkich naszych przeżyciach — uczuciach i pragnieniach... Wszystkie inne słowa, których często używamy w nadmiarze, stanowią tylko oprawę dla tamtych, głównych i właściwych.

— Tak jest. Ja jednak nie myślałem tak — szeroko. Miałem na myśli jedno tylko słowo, bez któ-

rego nie moglibyśmy się obejść, a gdyby pojęcie przez to słowo oznaczane, nie istniało — i nasze istnienie nie byłoby chyba możliwe.

— Wiem: to słowo — „kocham”...

— Nic podobnego!... „Kocham”... „Kocham”... Nie znam mniej treściwego słowa...

— Panie, to herezja!...

— Nie, proszę pana, to prawda. To słowo zostało stworzone tylko dla kobiet i jest równie mało znaczące, jak większość słów, które one nam mówią i które my im mówimy...

— Proszę pana!...

— Czy pan to słowo mówił już jakiejś kobiecie?

— Przecież nam nie o to cho-

dzi... — Rozumiem, mówił pan więc.

Niech pan sobie teraz przypomni jak to było. Najpierw pan sobie uświadomił, że coś panu dolega. Potem pan skojarzył swoje dolegliwości z widokiem, a nawet z wyobrażeniem tej właśnie kobiety. A wreszcie odkrył pan nagle, że na świecie istnieje tylko jedna kobieta — właśnie ona — i że pan ją... jakby to powiedzieć?... że pan ją... no, że pan ją „kocha”. Chciał pan to jej powiedzieć zaraz, natychmiast, ale — jakoś nie wyszło. Potem dziesięć razy już otwierał pan usta... nie znajdował pan właściwego słowa.

Aż wreszcie — znalazł je pan... Kiedyś — było to pewnie o zmierzchu, gdzieś w parku, a może wczesnym rankiem przed bramą jej domu, po jakimś balu — patrzył pan chwilę w jej oczy, potem pan przesunął donią po czole, na którym wystąpiły kropelki potu i — zacerpnawszy w płuć oddechu — wyrzekł pan,

wyszeptał, czy wyrzucił z krątni to „święte”, „wielkie” i „jedyne” słowo — „kocham”!

— Panie... dosyć!...

— Jeszcze chwileczkę. I w tej samej chwili zobaczył pan setki przeczytanych książek, na których kartach to słowo było wydrukowane, zobaczył pan kilometry filmów, w których aktorzy wykonywują grymas pocałunku przy akompaniamencie płynących z głośnika charkotliwych słów: „Kocham cię”... „Ich liebe dich”... „I love you”... „Je t'aime”... I zrobiło się panu nieprzyjemnie...

— Nieprzyjemnie robi mi się dopiero teraz, gdy słucham pana, a wtedy... Wtedy, zapewniam pana, widziałem tylko jej oczy i usta i nie, ale to zupełnie nie obchodziły mnie miliardy innych, którzy „kocham” mówili przede mną, wraz ze mną i po mnie... Może mi pan jednak wreszcie powie, co to za słowo ma pan na myśli?

— Jutro.

— Jutro?...

— Tak, jutro. To jest słowo najważniejsze, najtreściwsze. Słowo, które mieścić może w sobie wszystko. Niech pan sobie przypomni, ile razy pan tego słowa używał, ile razy wiązał pan z nim pełne nadziei oczekiwanie, radosną pewność tego, co do pana wraz z tym jutrem przyjdzie, ile razy odczuwał pan przerażenie na myśl o jutrze, które nieuchronnie przyjdzie musi, ile rzeczy zrobił pan tylko dlatego, że pan pomyślał o jutrze i ile rzeczy z tego samego powodu pan nie zrobił? My właściwie żyjemy jutrem, proszę pana...

— Są tacy, którzy od jutra niczego się już dla siebie nie spodziewają. Dla nich ono będzie takie same, jakie było „wczoraj” i jakie jest „dziś”, a może jeszcze gorsze.

— Nie, proszę pana, takich nie ma. Każdy, absolutnie każdy z nas czegoś się od jutra spodzie-

wa, choć wie, że to jutro będzie gorsze od dziś, albo, że... może tego jutra wcale nie doczeka... Każdy ma swoje dobre prawo do nadziei, bo jutro jest przecież dla wszystkich.

— Po raz drugi przyznaję panu rację. Tak, jutro jest motorem na szych czynów. Pracujemy dla jutra, żyjemy jutrem. „Wczoraj” — może być ciężarem, „dziś” — bywa nieznosną, ważne, istotne jest tylko — „jutro”.

